

TYGODNIK SŁOWA POLSKIEGO

BEZPŁATNY DODATEK NIEDZIELNY DO „SŁOWA POLSKIEGO“ POŚWIĘCONY NAUCIE LITERATURZE I SZTUCE
POD REDAKCYĄ JANA KASPROWICZA.

BRONISŁAWA OSTROWSKA.

FRAGMENTY.

Nie wiem, czy piję złote wino,
Czy wiosennego kwiecica pył?
Czuję na oczach bajkę siłą,
Wspomnienia jakies w górze płyną,
Jakby girlandę z duchów wil.

Jak mocno pachną krwawe róże!
Płomień pochodni w dymach drży,
Zmierzeży się kładą na marmurze,
I łyż z pochodni cieką — duże,
Płonące krwawo smolne łyż...

Na biały marmur sypko splywa
Przerwany, długi perł sznur;
Snują się marzeń mdle przędziwa,
I onych perł struga żywa
Echowym pieśniom daje wtór.

Cienie się włóczą w kątach sali
Pomiędzy kolumn smukły las,
W kielichach wino krwią się pali,
I idzie stary sen z oddali
I siada błądy obok nas.

Zwolna mi w piersi serce chłodnie,
Kiedy mu patrzę twarzą w twarz...
Księżyc nad morzem lśni pogodnie,
I perły płaczą i pochodnie,
I róże pachną

Pod mojem oknem pluszcze kroplista fontana
W jesiennym, pełnym złota i purpury sadzie,
I kolumna jej śpiewna, wlatująca, szklanna,
Tęcze pieszczot słonecznych na marmury kładzie.

Tęsknotę swą za słońcem strzelistą i wieczną
Śpiewa pod mojem oknem w szarych dniach jesiennych:
Przeczuwaną w snach czasem dobrą wieść słoneczną
O błękitnych roztopów oddalonych promiennych.

I choć mię dzieli od niej cała dal żywota,
Choć mi gwar głosów ludzkich jej szemranie głuszy, —
Słyszę ją zawsze — wszędzie. Zda się w mojej duszy
Rwie się wzwyż i spadając łka. — Moja tęsknota.

EMMA JELEŃSKA.

WICIUK.

Była już późna godzina i krótki listopadowy dzień miał się ku końcowi, gdym z miasta wróciła do domu zmęczona i zziębnięta. Miałam kilka oddalonych adresów do sprawdzenia.

Pokojowa ledwie mi otworzyła drzwi, oświadczyła:

— Proszę pani, stróż przyprowadził tu jakiegoś chłopca, który w bramie na bruku leżał. Mówi, także — w bramie — to i zmarznąć może... Żeby pani go obejrzała...

— Cóż to za chłopiec! Wiecie, że włóczęgów i żebraków nie przyjmuję...

— Stróż mówi, że on sierota — matka zwarowała, czy co. A on sam musi być głupi — stoi, patrzy, dopytać się niczego nie możesz.

— Ach, Boże! — myślałam, zdejmując kapełusz i okrycie — jeszcze mi tego brakowało! Już i tak tych biedaków coraz więcej, długów mam po uszy, zima nadchodzi, to buty sprawiaj, to komorne płac, to drwa kupuj, a skąd tu wziąć pieniędzy? Jeszcze i ten przybędą jakiś! Pewnie nic dobrego...

Wyszłam do kuchni. W kątku pod lampą stworzenie stało bosc, obrosłe, brudne — okręcone w poszarpane szmaty — jakaś szara kupa strzępów, łachmanów i skudłanych włosów. Stało oparte o ścianę, z rękami wetkniętymi w jakieś niby kieszenie i patrzyło przed siebie wielkimi, błękitnymi oczami.

Było coś dziwnego w tych oczach. Męskie one były, dojrzałe już i doświadczone i odbijały od dziecinnej twarzyczki, jakby do niej nie należały, jakby zapożyczone od innej istoty, jakby zużyte już i zmęczone patrzeniem na świat i widzeniem rzeczy smutnych.

— Nie widzisz-że, pani?... Pocałujże w rękę — zakomenderowała pokojowa, która zawsze stała na straży form światowych. — Cóż? nie słyszysz? Ty... chłopiec...! — powtórzyła już oburzona takim lekceważeniem samej pani.

Chłopiec nie poruszył się.

— Daj mi pokój, Weroniko — rzekłam, zbliżając się do niego. Zadzwiły mi te jego oczy, które teraz utkwiły we mnie, pytająco — snać badały mię. — Jak się nazywasz, dziecko? — spytałam, pochylając się ku niemu.

— Wiciuk — odrzekł cichutko. Spojrzył na mnie badawczo i spuścił głowę.

— A twoja mama jakże się nazywa? Co?

— Moja mama? Józefowa.

— A tatko?

— Tatko? Józef Pietkiewicz.

— Gdzież wy mieszkacie?

— My mieszkali na Popowszczyźnie.

— Jakto mieszkali? Więc gdzież są twoi rodzice?

Cień jakiś po twarzy mu przeleciał i nie odpowiedział nic.

Ale w tej chwili Weronika, która się krzątała już około wieczornej herbaty, otworzyła piec i wionęło zeń zapachem pozostałej od obiału zupy. Błękitne oczy podniosły się żywo i zwróciły się ku drzwiczkom od pieca; usta zadrgały.

— Weroniko! on głodny. Trzeba go naprzód nakarmić, a potem wszystkiego się dowiemy.

— Jaki on tam głodny, proszę pani! Pewnie kieszenie ma chlebem napchane. Wszyscy oni tacy, włóczęgi!

Po chwili jednak siedział Wiciuk nad talerzem gorącego rosółu i jadł. A jadł tak, że i Weronika uwierzyła, iż nie miał kieszeni chlebem napchanych. A potem nastąpiła ze mną obszerna rozmowa.

— Więc mówisz, że się nazywasz Wicio Pietkiewicz i że masz rodziców. Gdzież oni są?

Chwila namysłu. Błękitne oczy podniosły się na mnie i znowu na mnie badawczo spojrzały. Widać w nich wahanie: powiedzieć, czy nie powiedzieć?

— Cóż ty tu w bramie robisz, gdy ciebie stróż znalazł i przyprowadził?

— Ja zmęczył się, więc siadł sobie...

— Ależ tak wieczorem na zimnie siedzieć nie można. Mogłeś zmarznąć. Czemużeś nie szedł do domu?

— Do domu? U mnie nie ma domu.

— Jakto, więc gdzież wczoraj nocowałeś?

— Wczoraj? Ja na deskach nocowałem, w leśnym składzie, u Perlisa.

— A coż jadłeś?

— Na płytach ludzie wieczorem gotowali, tak ja im wody naniósł i trzasek nabierał, tak i mnie dali.

— A dzisiaj?

— Dzisiaj już płytów nie było. Nie mógł ja nie należeć. Teraz zimno, tak i Wilja puściejsza... — Westchnął ciężko.

— I tak dawno żyjesz?

— Od Zielonych Świątek. Latem nie wielka sztuka — dodał z uśmiechem.

— Ale dlaczego się tak włóczysz po mieście, co?

Znowu chwila milczenia. Znowu oczy dojrzałe, doświadczone badawczo mnie obejrzały.

— No, coż? Wiciu? Trzeba, żebyś mi wszystko opowiedział, inaczej nie ci nie będę mogła poradzić. A przecie nie chciałbyś tak się włóczyć przez całą zimę i spać na deskach u Perlisa i głodnym być? prawda? Wolalbyś mieć dom i obiad, i ubranie całe, i buty? i użyć się czegoś, tak, jak inne dzieci? Wolalbyś? To musisz mi wszystko opowiedzieć...

Błękitne oczy zaszyły mgłą, a usta zadrżały i wyszło z nich ciche, nieśmiałe pytanie:

— Ale pani... Pani mnie nie odda do przyjtu?*)

Zrozumiałam. Na dnie tej duszy dziecinnej leżała jakaś tajemnica. Położyłam mu rękę na ramieniu i przyciągnęłam do siebie.

— Do przyjtu, dziecko! Nie! nie oddam! Możesz być spokojny!

I poczułam, że moje oczy też mgłą zachodzą.

Wiciuk przełknął ślinę i szepnął:

— To ja pani wszystko powiem.

— Dobrze. Powiedz mi wszystko. Gdzież są twoi rodzice?

— Tatko pojechał do Rosji. Już dawno pojechał. Na Popielec wrócił do chaty bardzo pijany, nas bił i mamę bił — a potem wyjął z kufierka półczwarta rubla, co mama za posługi dostała — i papiery wyjął i powiedział, że jedzie do Rosji. Tak mama odrazu powaliła się na podłogę. A tatko wziął i pojechał.

— I już nie wrócił? I nie pisał dotąd?

— Nie. Ze wszystkim pojechał?

— A coż potem było?

— Potem mamą zaczęła waryować. Ponacze-piała sobie łach moci wszędzie i chodziła po ulicy, i śpiewała i tańcowała czasem. I wszystkie śmieli się. A potem, raz, rzuciła się jednego tam powroźnika, co obok w chacie mieszkał — bić. Więc ludzie pozbięrali się i chcieli mamę oddać do św. Jakuba. Ale wtedy jeszcze nie oddali.

Przerwał Wiciuk swoje opowiadanie i zapatrzył się w płomień lampy. W głębi jego smutnej duszy musiały powstawać obrazy straszne, bo oczy były przerażone i błędne.

— A jakże potem było?

— Potem? — Potem to mama już ciągle waryowała. To modli się, modli się i śpiewa litanię i nam każe śpiewać. To znowu wyleci gdzieś i dwa, trzy dni niema...

— A coż wy robiliście bez mamy? Wieleż was było — dzieci?

— Dzieci? Był ja i Wikcia, i Kaśka, ona najmniejsza.

— Cóż wy jedliście?

— Tam, blisko, ciotka mieszkała. To czasem dała chleba ci kartofli ci co, a potem, jak było ciepłej, zaczęli my szczaw rwać i gotowali... I pokrzywy gotowali...

— A potem coż było?

— Potem, raz... Kaśka zachorowała. Pochorowała kilka dni i umarła. Tak mama jak przyszła do domu, jak zobaczyła — tak wzięła nóż i chciała nas zarznąć, i siebie także. Tak ja wyskoczył i zaczął krzyżeć. Tak ludzie pozbięrali się i sprowadzili gorodowego**). A gorodowy zawołał zwoszczyka, posadził mamę i powiózł do św. Jakuba. — Przez chwilę błękitne oczy, utkwione w lampę, zdawały się patrzeć znowu na odjeżdżającą matkę. Łzy się w nich zaszkliły, lecz nie spłynęły. — A mama, jeszcze ze zwoszczyka, krzychała: — „Dajcie mnie noża! Dajcie...“

*) Pryjut — ochronka dla sierot, rządowa i w czysto rosyjskim duchu prowadzona. Miejscowa ludność jej się boi, powiadają, że tam nawracają na prawosławie.

**) Gorodowy — stójkowy.

Urwał, i spuścił głowę. Czy słyszał jeszcze krzyk matki. Po jego twarzy przeleciał skurecz — usta zadrżały i skrzywiły się.

I mną wstrząsnął dreszcz.

— A cóż się z wami stało? spytałam po długiej chwili.

Wiciuk podniósł głowę. — Z nami? — Chwilę zdawał się zbierać myśli i przypominać sobie. — Nas wzięła ciotka, Wikcię i mnie. A Kaśkę pochowali na darniowych mogiłkach.

— Dobrze wam było u ciotki?

— Dobrze. Tylko, że jej mąż nie chciał nas trzymać. Mówił, że my dużo jemy i że oni mają swoje dzieci. Ciotka chciała, ale jej mąż nie chciał. Tak potem wzięli i zaprowadzili nas do pryjutu...

Urwał nagle.

— No, i cóż było dalej?

Milczenie.

— I oddali was do pryjutu, co? Mówże dziecko, co było dalej?

Zajrzałem mu w twarz, blade był i miał zacisnięte usta.

— Cóż się dalej stało? Mów, dziecko! Wzięli was do pryjutu?

— Wikcię wzięli — wyszeptał cichutko. — A mnie...

— No, a ciebie?...

— A mnie nie wzięli, bo ja uciekłem. — Głowę nagle podniósł do góry i spojrzał przed siebie. Oczy mu się rozblęskły dziwnym światłem, zaciał pięście.

— Nie chciałeś iść do pryjutu? Czemuż nie chciałeś?

Błękitne oczy cisnęły płomieniem, na twarzy rzeczkę błądą wystąpił nagle rumieniec i głosem donośnym, wyzywającym, męskim, odparł:

— Bo ja nie chcę być ruski.

ADOLF BASLER.

Powieści książęce Elemira Bourges'a.

(I.) Cały Escorial Velasqueza z królami, infantkami, błądnymi i kartami nie budzi tyle refleksyi, ile ta owalna głowa, pełna rasowej dystynkcyi i szlachetności rysów księżnej d'Este, którą uwiecznił Leonardo da Vinci. Rodzina tego imienia zaznaczyła się w historii. Burekhardt wspomina o ośmiu z nieprawego łoża członkach domu Este, którzy wyszli na spotkanie Piusa II., gdy się ten wybierał na kongres do Mantui. Wśród nich był książę rządzący Borso, dwóch synów z nieprawego łoża jego brata Leonella, którego żona również była z nieprawego łoża córką Alfonsa I. i jakiejś Afrykanki. Rodzina ta nie mniej była słynną, niż Sfordzów, Petruccich, Borgiów, Medyceuszów, których historia jest nieprzerwanym łańcuchem scen tragicznych. Dzieje tyraństwa we Włoszech pełne są tych nazwisk, które przez zdradę i dzikie okrucieństwa dochodziły do władzy. Był to czas, gdy indywidualność może największą miała pole do rozwoju. Ze *homo novus* nie był źle widzianym, świadczą słowa Sylwiusza Eneasz: „Novitate gaudens Italia nihil habet stabile, nullum in ea vetus regnum, facile hic ex servis reges videmus“. Po-

dobnie działo się też na północy, w *Imperium omnium regnorum*. Rządy gwałtów rozpoczął bękart Karola Wielkiego, Arnulf. W rodzinie Karolingów wciąż panowały niesnaski, które wiecznie się konczyły ścięciem jednego, otruciem drugiego. A po wygaśnięciu Karolingów, Otton Wielki równie płodził bękartów, żyjąc z niewolnicą.

Gdy już we Włoszech krwawe czyny condottierów łagodziła wysoka jak podówczas cywilizacya, w Niemczech dynastye barbarzyńskie prędko się wyczerpały, wciąż ustępując nowym. Do upadku ich nie mało się przyczyniały żony królewskie, zazwyczaj kobiety z cywilizacyą, jak Włoszka Adelajda lub Greczynka Teofania.

Elemir, Bourges, studiując ową epokę i jej wzory sztuki, miał dane po temu, by wskrzesić tragedye bohaterską. Ale nad trywialność i niemoc współczesnej sztuki teatralnej we Francyi oddał pierwszeństwo formie epickiej. Sięgnął głęboko, poruszył wszystkie żywy i zorkiestrował je szeroko, na wzór Szekspira. „Les Crépuscules des Dieux“ i „Les Oiseaux s'en volent, et les fleurs qui tombent“, to pierwsze powieści współczesne, które zerwały z niewolniczym kopiowaniem rzeczywistości, pierwsze, które opiewają prawdę i bohaterstwo bez względu na epokę i *milieu*, które malują. Mimo, że na starych mistrzach wzorowane, są one dzisiejsze, krwawe i demoniczne, jak dramaty królewskie Szekspira. To odmłodzona sztuka wielkich poetów angielskich z czasów Elżbiety i Jakóba, jak — Webstera, Ben Jonsona, Fletchera, Forda.

Trudno, by czytany był w dzisiejszej episcopie Francyi tej miary artysta, co Elemir Bourges, w chwili jeszcze, gdy najmniejsze romansidła tryumfują bez przerwy, a publiczność delektuje się nade wszystko najwstrętniejszymi pornografiami w rodzaju Willych (Claudine en ménage), Lorrainów etc. Jako poeta, który chciał wskrzesić krwawe tragedye książęce z czasów Odrodzenia w tak banalnej epoce, jak dzisiejsza, musi się pogodzić z swym losem. Z wielką ambicyą tworzył B. swe powieści, całe lata strawił nad niemi, chciał jakby piekło współczesne wyśpiewać.

Jako leit-motif służy mu wiersz Agrippy d'Anbigné:

„Ce siècle, autre en ses moeurs, demande un autre style, — Ceuillons des fruits amers, desquels il est fertile. Non, il n'est plus permis sa veine despuiser; — La main peut s'endormir, non l'ame reposer“.

Nie wiem, czy można streszczać utwory E. Bourges'a, czy suchy szkielet zdolen odzwierciedlić ich piękności, wielkich zalet artystycznych, niezrównanego mistrzostwa w kompozycyi. Wielka sztuka prozaików francuskich czekała od czasów Flauberta na równie wielkiego artystę. Trzeba, by powieści Bourges'a przyswoił jakiś wirtuoz słowa literaturze polskiej.

Les Crépuscules des Dieux: (Zmierzch Bogów)

Skłębził się, w dal się rozwiął, szumem dźwięków ponurych hymn płynął po falach westchnień i rozsunął się w melancholii zmierzchu. Oto i nadeszła, noc gusiel i czarów, noc pod Venusberg, gdzie bogini trzyma w swej moey rycerza. Po pieśni

miłosnej uniosła się Bacchanalia. Z łoskotem zagrzniały wszystkie głosy orkiestry, niby technienie z jaskini Piękna harmonia trąby uniosła niespokojnego rycerza w wir wiecznej miłości...

Był to chór Pielgrzymów. Sam Wagner dyrygował swym utworem na zamku księstwa Blanckenbourg. Książę Karol d'Este (autor ma na myśli ostatniego panującego w księstwie Brunzwickiem), który żył w otoczeniu swych pięciu bękartów (Hansa Ulrycha miał z dziewczką wiejską, którą spotkał podczas swej podróży do Rosyi, Krystynę z Irlandką, Franca zrodziła mu Wiedenka Augusta Linden, jedyna faworytka, która się utrzymała jeszcze na dworze), swej świty i blazna, Włocha Arcangielego, który go bawił swemi facecjami, wydał owego wieczoru mimo wybuchłej wojny z Prusami, wielki festyn. Zblazowany, dumny, gardził przedewszystkiem cudzemi myślami. Mimoto słuchając hymnu Wagnerowskiego, czuł, że mu pieści ucho tego rodzaju muzyka. To też z dumą wodził wzrokiem po zgromadzonych, czule się przyglądał swym młodym, a piękny dzieciom. Strzeżony przez swe wojsko, oklaskiwany przez naród, był przeciwieństwem tym synem bogów, ostatnim z Gwelfów, którzy niegdyś byli tak silni, jak Habsburgowie, równie szlachetnego rodu, co i **Burboni**. I cały poczet przodków przesunął mu się przed oczyma, Otton i Henryk Lew i Wittikiud... Podobnie, jak ten tyran z Weroni, który miał więcej względów dla swych blaznów, niż dla Danta, tak i on wołał zazwyczaj żarty swego trefnisia. Ale w owej chwili czuł wdzięczność dla artysty. Wszyscy byli zresztą nastrojeni uroczyście. Hans Ulrych mówił głosem drżącym wyszukane słowa swej siostrze Krystynie.

Grano następnie scenę z Walkiryi.

... Pierwotny szataś myśliwski. Potworne łby, skóry niedźwiedzi i wilków, pościartowane żubry pokrywały ściany, a w pośrodku lepianki stał olbrzymi pień bukowy. Na polu ryczała wichura, a na scenie częstowała niewiasta napojem oblubieńca...

Przeniesiono się w czasy legend, gdy rasa bogów walczyła z karłami i olbrzymami, a herosy zdobywali swe dziewy. Sieglinde grała Giula Belcredi, która swym śpiewem i nadzwyczajną urodę zajęła uwagę księcia.

... Wtem wtargnęli Prusacy do księstwa. Na zamku powstał popłoch, wszyscy się zakrzatali energicznie koło wyjazdu księcia, który opuszczał już na zawsze swe państwo. Dopiero na dworcu kolejowym wręczył Karol d'Este pamiątki Wagnerowi, przyczem go zapytał o tytuł ostatniej części tetralogii. „Zmierzech Bogów“, odparł Wagner. Ten tytuł zmieszkał księcia. Na pożegnanie w te słowa się jeszcze odezwał: „To z panem, panie Wagner, ostatnie miałbym spotkanie“... I popadł w półsen, w półjawę, wciąż sobie powtarzając: „Zmierzech Bogów... Zmierzech Bogów!“

Wreszcie znalazł się w Paryżu na Polach Elijskich. Tu rozpoczął nowe życie od piekielnych nudów. Włoch Arcangeli wymyślał wciąż nowe żarty, by bawić swego pana, kłamał, aby otuchy dodać, że Austriacy pobili Prusaków. Książę bowiem gotował się do odwetu, drukował proklamacje i dekrety. Już, już miał Paryż opuścić, gdy w tem wieść gruchnęła o klęsce Austriaków pod Sadową, niweczając mu wszystkie zamiary.

Zniewieścił, furiat, pełen przesądów, przywiązany był tylko do swego Włocha, który go kąpał,

maściami mu ciało wycierał chore od przesyła i bawił wciąż swymi figlami. Błazen zaś, korzystając z zaufania swego pana, kuł plany daleko, daleko idące, wciąż myśląc o sobie i siostrze Emilii, guwernantce małej Klary. Znał on jej stosunek do hrabiego Franca i był pewien, że siostra dopnie swego celu.

(Dok. nast.)

ADAM CYBULSKI.

KAPLICA SZTUKI CZYSTEJ.*)

(III.) Przez trzy tomy a więc przez sześć ostatnich zeszytów „Chimery“ ciągnie się wielka powieść p. Wacława Berenta p. t. „Próchno“. Wprowadzenie w świat tego nazwiska jest właściwie także dopiero zasługą „Chimery“. Wydany przed laty kilku „Fachowiec“ tego autora świadczył już wprawdzie o pewnym talencie realistycznym, była to jednak jeszcze w każdym razie powieść bardzo młodzieńcza — i nie dziwnego, gdyż autor jej liczył podówczas niespełna lat dwadzieścia! Od tego czasu p. Berent zamilkł zupełnie, dochodziły tylko z daleka wieści o nim, że podróżuje, kształci się, pracuje wiele i poważnie — aż raptem przed rokiem blisko odezwał się znowu w „Chimerze“ i zaraz pierwszymi rozdziałami swej nowej powieści wzbudził zaciekawienie niemałe. Niebawem dały się nawet słyszeć głosy, witające z entuzjazmem tę nową na horyzoncie naszego młodego powieściopisarstwa wschodzącą gwiazdę i stawiającą ją odrazu tuż obok Żeromskich, Sieroszewskich, Reymontów...

Dzisiaj, gdy „Próchno“ p. Berenta leży już przed nami w całości, a niebawem pojawi się w wydaniu książkowym, możemy sobie wreszcie zdać jasno sprawę z tego, o ile zdania te były i są usprawiedliwione.

Ze p. Berent jest talentem poważnym, głębokim i oryginalnym, jednym słowem, że dla młodej powieści polskiej ilościowo, przynajmniej w porównaniu z pozostałymi, w talenty nie zasobnej — jest nabytkiem zupełnie niepospolitym, po którym w przyszłości bardzo wiele spodziewać się wolno, to dla mnie zdaje się nie ulegać żadnej wątpliwości. Inna rzecz jest rodzaj tego talentu i inna rzecz wartość, jaką sama w sobie przedstawia jego powieść, wzięta jako całość. Przedewszystkiem rozprawić się tutaj należy z zarzutem — braku akcyj względnie nieudolnego jej przeprowadzenia, który spotkał już „Próchno“ ze stron kilku. Otóż usunięcie akcyj zewnętrznej w międzyrozdziały, wyrzucenie jej niejako poza nawias powieści a pozostawienie natomiast jedynie koniecznego tła wrażeń chłoniętych przez odtworzone w niej moralne „próchno“ współczesne — to właśnie uważam za jedną z głównych zalet tej powieści. Autor zamiast po kronikarsku opowiadać zdarzenia od po-

*) W poprzednich fejtetonach opuszczono co następuje: I. str. 5. szp. 2. wiersz 4. u góry po nawiasie: i obok innych artykułów przygodnych — I. str. 5. szp. 2. wiersz 14. od dołu po nawiasie: jednej czarnej litografii Aubreyrg Beardsley'a (Powrót Tennhäusera na Wenusberg). — II. str. 8. szp. 1. wiersz 9. u dołu po słowach: „Prócz p. Zawiejskiej“ ma być: i p. Komornickiej (drukowany jeszcze w pierwszym roczniku krakowskiego „Życia“ wiersz d. t. „Nazajutrz“ oraz pokrewne „Feagmentom“ „czarne płomienie“).

czątko do końca, ujmując powieść swą w „punkcie katastroficznym wypadków“, (akcja powieści rozgrywa się w przeciągu trzech dni!) i wplata w nią kolejno to tylko, co z faktów poprzedzających okazuje się koniecznym do zrozumienia rozwiązań ostatecznych. Jest to właśnie ściśle epicka w znaczeniu współczesnym ekonomia artystyczna, którą tak indywidualnie i nieraz kapryśnie, ale po mistrzowsku, stosować umie Żeromski. Akcja więc „Próchna“ jest tylko kanwą haftu psychologicznego, nieodzownym blejtramm obrazu...

Cóż zatem przedstawia sam obraz?

Pisze Berent w liście do redakcyi „Chimery“: „...obok tych, których duch nie błądzi, ponieważ śpi i których strawa jest „zdrową“, ponieważ w setkach ust już przeżutą i przeslinioną — są i inni, dla których sztuka jest najostateczniejszą potrzebą ducha, przyrodzonym piętnem umysłowości, „głodem i bólem ich wnętrzości“, kłeskową rozterką z życiem, nieraz fatalistyczną wprost koniecznością wgłębiania się całą siłą myśli i uczucia we wszystkie wrażenia, objawy i w samych siebie, a więc we wszystkie przekazane wartości, normy, dogmaty i wierzenia. Wśród czujących, co zarazem i myśleć potrafią, jest takich wielu, dziś więcej, niż kiedykolwiek. I oni wszyscy, niezależnie od tego, czy władają artystycznym narzędziem, czy się udzielają lub nie, wszyscy oni są dziełami sztuki, są prawnymi artystami. Zaś wśród szukających jest wielu takich, których głód wrażeń rzuca w złe wiry wielkomijskie, głód ducha wiedzie na beznadziejne błędne ścieżki; jedno i drugie szczepi im niemoce serdeczną, jad wyłącznych myśli o „samym sobie“ i kruszy im w dłoniach miary wszelkich wartości. Dziś więcej, niż kiedykolwiek. I oto gdzie zaczyna się próchno. Ale, ale... może niejedyn zastanowił się już nad tem, że tam, gdzie drga i krwawi serce, gdzie myśl pracuje bezustannie i zrywa się do najwyższych wlotów, że tam nie może chyba wyłącznie być mowy — o niemoralności? że niespokojna twórcza myśl, szukająca nowych dróg, najłatwiej na błędne ścieżki schodzi i że te jej błędzenia nie są zupełnie bezowocne? że próchno staje się wszak z czasem płodną mierzwą, na której kiedyś dziewicze nawet bory wyrosnąć mogą? że kłeska nieodwołalna zaczyna się tam dopiero, gdzie rodzajną bądź co bądź próchninę przysypią piaski jałowe?...”

To „próchno“ obrazuje nam powieść p. Berenta, obrazuje świetnie, wszechstronnie, jaskrawo, brutalnie, odsłaniając pełną miłości, choć nielitościwą ręką, głębie jego najtajniejsze, sekyonujące je poprostu na kilku rzuconych w „złe wiry wielkomijskie“ (rzecz dzieje się może w Berlinie) postaciach reprezentatywnych, które przesuwają się przed nami w jego powieści na tle wypadków pierwszych lepszych: następstw niemiłkich. Wszyscy oni: autor Borowski, *cand. med.* Kunicki, dziennikarz Jelski, malarz Pawluk, poeta Müller, muzyk Hertenstein, obnażając nam rany swoje nieuleczalne, zataczają się kolejno w oczach naszych w grób i zapomnienie, odtańczywszy swą rozpaczliwą farandolę przedśmiertną na cześć miłości i sztuki! To całe „próchno“, którego tak pełno w nas i dokoła nas, rozpłomienia się tragicznie, łuną chorobliwą rozświećta na chwilę dalekie, przeraźliwe horyzonty życia współczesnego i gaśnie — w powieści... W czytelniku pozostaje uświadomienie gorzkie i groza ciężka, jak zomara, i pytanie dręczące, czy w ogóle i o ile „pró-

chno“ to współczesne rzeczywistości będzie nawozem na tej niwie, „gdzie zafaluje jutro kłosny łan?“ Pytania tego, choć o nie kilkakrotnie potrąca, autor naturalnie nie rozwiązuje i tylko jako motto cytuje starego Modrzewskiego z dzieła „O naprawie Rzeczpospolitej“: „Niemoce serdeczna stokroć gorszą jest od niemoce fizycznej. Przeto zleczenie myśl waszą“ — a tuż obok podszeptuje mu zaraz Nietzsche: „Tylko mierni mają widoki dalszego trwania: oni są ludźmi przyszłości, oni pozostaną“.

Rozdźwięk oteklanny — pytanie pozostaje bez odpowiedzi... Nie dotyczy ono zresztą zupełnie rzeczy tutaj najważniejszej i jedynie decydującej — nie dotyczy powieści *ad meritum* jako dzieła sztuki. Tutaj miarodajnym jest jedynie subiektywny kąt widzenia stapiający w jedną całość materiał dostarczony przez obserwację czy wyobraźnię t. j. przetworzenie indywidualne, żywe, tego materiału surowego. Otóż, co do tego przetworzenia, które jest właśnie twórczością samą, to, o ile ono dotyczy szczegółów, a więc przeprowadzenia charakterystyki poszczególnych postaci powieści i wzajemnego tych postaci ustosunkowania, dalej poszczególnych sytuacji, epizodów i t. p. nie waham się nazwać go (z małymi wyjątkami) mistrzowskim; co się jednak tyczy całości, a więc właściwej wewnętrznej kompozycyi powieści, to posiada ona, mojem zdaniem, zasadnicze skrzywienie, organiczny błąd konstrukcyjny. Błąd ten upatruję w tem, że zakończenie „Próchna“ (rozdział, któreby można zatytułować n. p. Müller u Hertensteina) stanowiące niejako kopułę całego gmachu powieściowego — nie pozostają w logicznym związku architektonicznym z całością budowy. Ten cały systemat teozoficzny bramińsko-buddyjski, do którego doszedł Hertenstein i który przed wspólną śmiercią samobójczą usiłuje wpoić w Müllera, zapewne, że doskonale charakteryzuje stan umysłowy, w którym dzisiejsi bankruci duchowi znużeni „samymi sobą“ natrafiają i wprost coraz częściej natrafiać muszą — ale przedewszystkiem, dla mnie przynajmniej, świadczy o tem, że autor sam dla siebie nie mógł znaleźć odpowiedzi na dręczące go na równi z czytelnikiem powyżej już sformułowane pytanie, dotyczące celowości ostatecznej „próchna“. Skoro nie można było skończyć rzeczy zbawczym finałem beethovenowskim, lepiej chyba było zamknąć ją rozdźwiękiem zupełnym. W każdym razie tego rodzaju sklepienie, umieszczone na gmachu, który zdawa się obejmować ogromne przestrzenie życia współczesnego i w niebo zdążyć, jest netylko rezygnacją — osobiście, ale i artystycznie ograniczeniem się raptownem, barokową kopułą na niewykończoną gotyckiej wieży i zdaje się być prawie... kompromisem — nie z t. zw. ogółem, broń Boże, ale z wydawcą „Chimery“. Dysproporcję swej budowy powieściowej odczuć musiał sam autor, skoro uznał za stosowne przy końcu powieści zamieścić cytowany już list, w którym pomiędzy innymi zastrzega się przeciw temu, jakoby „propagował“ Nirwanę i widział w niej rozcięcie jakiegokolwiek duchownych czy życiowych węzłów — i oświadcza, że podpisuje się pod rysunkiem swych postaci, nie zaś pod ich wierzeniami i sądami.

Wogóle wspomniane zakończenie „Próchna“, choć ma wiele pierwszorzędnej piękności szczegółów, posiada jednak w znacznym stopniu to, co się już niekiedy spotykało w rozdziałach poprzednich t. j. pełną nieszczerłość i sztuczność tonu. Naturalnie, że

wiele tu idzie na karb koturnowej postaci Hertensteina (podobnie jak poprzednio wiele szło na karb kabotyńskiej natury Borowskiego lub Jelskiego), niemniej jednak pozostaje wrażenie, jakoby z jednej strony autor sam, jako artysta, nie wszystko jeszcze „próchno“ i nie wszystką jeszcze „niemoc serdeczną“ — i aktorstwo w sobie przewyciężył, a z drugiej jakoby z chwilą opuszczenia pola twórczości realistycznej nie czuł się już na swoim terenie i ratować się wtedy musiał... choćby telepatya, choćby reminiscencjami z Przybyszewskiego i innych. Naturalnie te różne usterki, które wytknąć łatwo, nie zmniejszają ogólnej wartości powieści, choć rażą i irytują — w mniejszym w każdym razie stopniu, aniżeli (poza pierwszymi trzema zeszytami) ilustracyi, które mnie przy czytaniu niekiedy wprost do rozpaczki doprowadzały!...

W czem p. Berent jest majstrem nielada i może rywalizować śmiało z najpierwszymi, to w oddawaniu duszy ludzkiej w dyalogu albo w monologu, weźmy n. p. ten, który na samym początku na ementarzu przedmiejskim wygłasza Borowski w obecności Kunickiego. Z jaką plastyką występuje w nim cała nieszcześna rozszarpana, bezsilna dusza niegdyś genialnego dziś już zmarnowanego aktora, który w życiu zna jedno tylko: scenę, jeden cel i marzenie: powrót na scenę. Przesuwa się przed oczyma naszymi całe dzieciństwo i młodość dziwna tego człowieka: Ojciec kabotyn, wizya nieznannej matki, pierwsze oeknienie się duszy, pierwsze laury i pierwsza kochanka a potem po jej śmierci — całe tłumy kochanek, ciągła rywalizacya sceniczna ze starym, wreszcie Ona, Zośka czysta, ubóstwiana, święta, którą rodzony jego ojciec podsuwa mu przed premierą, by rozbrodził w nim — aktora, — potem ta premiera — tryumf, upokarzająca scena odegrana przez staroego w knajpie, zamknięcie go do kozy, wreszcie po miesiącach niespodziewane pojawienie się jego za kulisami wobec syna i synowej i przekleństwa miotane i śmierć samobójcza — w wychodku... Wogóle postać cała Borowskiego („serdeczny męczennik najwyższego popędu, z którego sztuka się rodzi: instynktu do udawania i aktorstwa“) od początku aż do końca przeprowadzona jest świetnie i jest w powieściowej literaturze polskiej chyba najciekawszą i najgłębszą figurą, jaką wydobyc zdołano z tego „świata szminki, pełnego głodu wrażeń na pół dziłkach, nieporowych namiętności, z których, jak z kotła czarownic, wynurzają się bohaterkie widma, zalane jaskrawym blaskiem teatralnych kinkietów“, świata mającego swoją własną specjalną psychologię tego dziwnego królestwa sztuki, odbierającej duszę a dającej w zamian rolę“...

Zresztą równie wyborne są inne postacie powieści. Śliczną, pełną dziwnego czaru, ogromnie prostą i ogromnie kobiecą jest Zosia Borowska. Nie dziw, że kochają się w niej skrycie wszyscy z jej najbliższego otoczenia, spragniani czystości wśród brudu, otaczającego ich życie. Nie dziw, że codziennie u progu drzwi jej składa pęk świeżych lilij skazany na śmierć suchotnik i erotoman Müller, że błąka się pod jej oknami wykolejony zupełnie przez tę miłość a do niedawna tak „solidny“ i pewny siebie *matter of fact* (jak go Jelsky nazywa) *canid.* med. Kunicki, że ukraińiec Pawluk chciałby tylko nogi jej całować a „duższe by zbawił“, że Borowski dla niej uciekł kiedyś z wojska i tem raz na zawsze zamknął sobie powrót do ojczyzny i na scenę.

Rozdział, rozgrywający się między Zosią a mężem, w którym ona uświadamia sobie wreszcie jego niczność moralną, a zakończony jej słowami: „Toś ty ze mnie Taką uczynił!“ jest jedną z najpiękniejszych w powieści. Odtąd los jej łatwy jest do przewidzenia. Porzuconej przez męża, który pod protekcją dramaturga Turkuła ma wracać do kraju (i tam ginie przedziej czy później) a żonę tymczasem w spadku pozostawia Kunickiemu, bezradnej i na pół dzieciinnej — dwie tylko pozostają drogi: śmierć... albo Jelsky, który zaraz podstępem obejmuje spadek przeznaczony Kunickiemu, po Jelskim może Pawluk, którego Jelsky przed śmiercią samobójczą w restauracyi mianuje swym następcą (Kunicki legatu z drugiej ręki nie przyjął), po nich trzeci, dziesiąty, dwudziesty... Brak miejsca, nie pozwala się rozwozić choćby tylko najogólniej nad resztą galeryi, w której takie świetne i nowe figury, jak Jelsky, Kunicki, Müller i drugoplanowe Pawluk, Turkuł, postaniec i t. d. poprzednim bynajmniej nie ustępują.

Najmniej życia posiadają stosunkowo Hertenstein (przynajmniej pod koniec powieści) i siostra jego Hilda, która zresztą więcej jest symbolem *arist. vulgavae*, aniżeli żywą kobietą. Na osobną wzmiankę zasługuje ślicznie narysowany pies Hertensteina, przeżuciowa charcica, w której towarzystwie dwaj przyjaciele spędzają ostatnie chwile swego życia. Trzeba sobie również odmówić omawiania poszczególnych scen, rozmów, epizodów, krajobrazów i nastrojów nieraz artystycznie i psychologicznie wysoce wartościowych, jak n. p. rozmowa Jelskiego z Müllerem, Jelskiego z Kunickim, opis kłótni Turkuła i t. p. Podnieść muszę tylko jedną perłę czystej wody t. j. opis operacyi, której w prosektryum asystuje Kunicki. Jest to małe arcydziełko, stworzone środkami jaknajprostszymi, i które n. p. w zestawieniu z dość pretensjonalnym opisem przedstawienia tynglowego i występu Iwetty Guilbert powinno dać do myślenia autorowi.

Styl „Próchno“ stanowi także jedną z głównych jego zalet. P. Berent język polski opanował już w zupełności, przytem zindywidualizował go. Umie on grzmieć nim i błyskać, wyłobywać z niego siłę, a zarazem oddawać nim najdelikatniejsze subtelności. Język ten ma własną swoją rytmikę, własny sposób obrazowania. Przytem, choć bardzo indywidualny, umie się on nagiąć do każdej odtworzonej indywidualności i zmieniać się odpowiednio w jej ustach: Napotka się tu i ówdzie na jakąś bliższą lub dalszą reminiscencję, często jednak (jak n. p. w pamiętniku Müllera) zdaje się ona być umyślną. Rozprószone tu i ówdzie własne fragmenty liryczne świadczą jeszcze, że p. Berent pięknie włada także mową wiązaną. Skądinąd wiemy, że jest on także wybornym tłómaczem (Grabbe, Boecklin).

Jakkolwiek więc powieści p. Berenta, jako całość wziętej, nie można uważać za skończone dzieło sztuki bez zarzutu, to w każdym razie przynosi ona tak wiele zarówno pod względem artystycznym, jak i pod względem ideowym, że w autorze jej rzeczywiście powitać można gwiazdę pierwszorzędą, wstępującą na horyzoncie młodego naszego piśmiennictwa. Talent indywidualny, silny, bogaty — krystalizujący się dopiero, który już wkrótce powinien się znaleźć zupełnie. Wtedy z pewnością w rządzie przedstawicieli współczesnej powieści polskiej zajmie jedno z miejsc pierwszych. Przytem „Próchno“ jego, które

dla autora swego oznacza przełom zasadniczy — zapowiada równocześnie i przełom w duszy młodego naszego pokolenia twórczego, przełom zbawczy a w każdym razie zmienny. Nikt może ze współczesnych pokoleniu swemu tyle gorzkich prawd nie powiedział, co p. Berent. „Sięgnął do wnętrza naszych trzewi i zatargał“ — lekarstwa nie przyniósł, ale całą ohydę choroby przed oczy stawił, grozę położenia uświadomił — „przeło zleczenie myśl waszą“. To nie dziecinna prośba o moc „przed wschodem słońca“, ale to męskie, poważne, dojrzałe zastanowienie się i opamiętanie — bólu pełne, lecz i nadziei zarazem. „*Sie sagen: Decadence! Hunde, sagt: Wehgeburten einer besseren Zukunft*“. Oby mu się stało wedle wiary jego...

(C. d. n.)

OSKAR HERTWIG.

Biologia i jej stosunek do socjologii.

(I.) W roku 1899. August Böckh, mówiąc o państwie, określił je jako urządzenie, przy którym dopiero wszystkie enoty ludzkości mogą być urzeczywistnione. W dwadzieścia kilka lat później Ernest Curtius nazwał państwo najwyższym dziełem sztuki, jakie ludzie wspólnie mogą wytworzyć. Biolog ożywiony pokrewnymi myślami jeszcze bardziej skłonny jest uważać ustroj państwowy za najwyższy rodzaj organizmu, w którym ludzie są złączeni do wyższego moralnie życia zbiorowego, do wyższych zadań i celów, tak, że przez to dopiero enoty i zdolności człowieka w całej pełni rozwinąć się mogą. Dlatego też jako biolog chcę zwrócić uwagę czytelnika na naukę o ustroju czyli organizmie, zwaną biologią.

Nazwy biologią użył po raz pierwszy Treviranus w swej filozofii żyjącej natury, która wyszła w r. 1802. Oznacza ona naukę o życiu, a więc niewyczerpaną dziedzinę wiedzy, która dzięki ogromnemu podziałowi pracy rozpadła się na mnóstwo rozmaitych działów.

Przedmioty badań biologicznych, żyjące organizmy, mogą być rozpatrywane w trzech kierunkach, a mianowicie chemiczno-, fizykalno- i anatomo-biologicznym. Znaczenie tych trzech kierunków choć tu krótko scharakteryzować.

Ponieważ każdy organizm składa się z materii albo, ściślej mówiąc, z bardzo wielu chemicznych połączeń, przeto jako przedmiot badań podlega chemiczno-biologicznemu kierunkowi, po większej części stanowiącemu dział fizjologii, w niektórych jednak uniwersytetach wykładanemu w samoistnych zakładach naukowych.

Wprawdzie już w dawniejszych stuleciach wytworzyła się w medycynie jatrochemiczna szkoła, a Paracelsus, Helmont i Sylvius usiłowali zastosować surowe jeszcze naówczas wiadomości chemiczne do zrozumienia procesów życiowych i chorobowych, to jednak od jakichś stu lat dopiero kierunek chemiczno-biologiczny posiada trwałe i pewne podstawy, dzięki geniuszowi Lavoisier'a we Francji i Liebiga w Niemczech. Od tego czasu kierunek ten postępuje w sposób nieprzerwany. Złożone chemiczne procesy oddychania, wytwarzania krwi, przyjmowania i wydzielania materii, trawienia ciał białkowych, tłuszczów i węglowodanów, częściowo zostały objaśnione na mocy mozołnych i drobiażkowych doświadczeń.

Powstała osobna chemia niezłożonych ciał, znajdujących się w komórkach i tkankach roślin oraz zwierząt! — Mistrzostwu Wöhlera udało się po raz pierwszy sztucznie otrzymać mocznik, który do tego czasu znany był jedynie jako ciało, powstające w procesie życiowym ustroju, i którego sztuczne wytworzenie uważane było niegdyś za niemożliwe przez szkołę witalistyczną. Począwszy od owej chwili udało się coraz lepiej doskonalszej sztuce chemika wytworzyć na szkiełku zegarkowem i w retorcje liczne inne ciała roślinnego i zwierzęcego pochodzenia.

W naszych czasach odkryto zupełnie nowe pole badań w kierunku chemiczno-biologicznym, gdy mianowicie Pasteur i Koch wykazali, że wiele chorób powstaje przez wpływ najdrobniejszych istot żyjących oraz, że przedewszystkiem chemiczne produkty ich czynności życiowych działają trująco na owładnięty przez nie organizm. Ropoczęto badania nad produktami przemiany materii u bakterij oraz nad ich proteinami. Udało się wprawdzie jeszcze w sposób niezupełny otrzymać ze sztucznych kultur jad tuberkulicznych i dyfterytycznych baccillusów oraz bakterij gnilnych. Jednocześnie także objawiła się dążność do przeciwdziałania, za pomocą całkiem swoistej metody w terapii, owym szkodliwym jadem chorobowym mikroorganizmów.

Wystarczy, jeżeli przypomnę tuberkulinę Kocha, serum dyfterytyczne Behringa i Ehrlicha, oraz rozmaite inne rodzaje środków, projektowanych przeciwko tężcowi, dżumie i t. p.

Wreszcie od lat kilku — tak obszerna jest dziedzina chemiczno-biologiczna — rozwija się osobna gałąź, pewien rodzaj mikrochemii. Dla najmniejszych cząstek materii, z których składa się ciało komórki organicznej, szukamy pewnych wyróżniających reakcyj, mianowicie staramy się wytworzyć połączenia z jednym z niezliczonych barwników, ażeby w ten sposób umożliwić badaczowi wnikięcie za pomocą mikroskopu i skrawków z roślinnych i zwierzęcych tkanek, w budowę komórki z różnych chemicznych ciał, oraz w jej zmiany podczas procesów życiowych.

Wiele znajduje się tu jeszcze w zaczątku! Cała chemia ciał białkowych przedstawia ciemną i mało dostępną dziedzinę. To jednak, co tu i ówdzie w pierwszym zapale zrobiono, obiecuje obfitsze daleko owoce w przyszłości.

W biologii najbliższym kierunkowi chemicznego jest fizykalny. Prawo zachowania siły, ugruntowane przez Roberta Mayera i Helmholtza, stosuje się zarówno do ustrojów, jak i do nieorganicznej światła, albowiem i one podlegają tak samo ogólnym siłom przyrody. Zaopatrzone w subtelne metody oraz w genialnie pomyślane przyrządy, biolog-fizyk stara się za pomocą miary i liczby wnikać w istotę procesów życiowych i objaśnić nas dokładnie co do różnych rodzajów energii: mechanicznej, chemicznej, cieplnej, elektrycznej.

Powstała tedy osobna fizyka mięśni i nerwów, mechanika szkieletu i narządów, służących do ruchu, mechanika oddychania i krążenia.

Oko opisano jako ciemnię optyczną, urządzoną według praw fizyki, ucho jako narząd fizykalny, służący do przenoszenia drgań dźwiękowych za pośrednictwem odpowiednich urządzeń, drgających błon i włókien, nastrojonych, podobnie jak struny fortepianu, na oddzielne tony. Krtań to piszczałka języ-

kowa, wprawiana w drgania przez płuca jakby przez miech i wydająca przez to dźwięki.

Prawa filtraacji i przesiąkania służą do wyjaśnienia zjawisk wchłaniania i wydzielania.

Za pomocą złożonych przyrządów (kalorimetr) fizyolog oblicza w ciepłostkach ilość ciepła wytworzonego w ciągu dnia przez ustrój zwierzęcy, podejmuje się także trudnego zestawienia bilansu przemiany energii zwierzęcej, obliczając również w jednostkach z jednej strony to ilość energii, jakie pod postacią pokarmów różnego rodzaju są do ustroju wprowadzane, z drugiej zaś ilości przezeń wydawane, bądź jako ciepło wytworzone, bądź jako praca mechaniczna.

Podobnie jak w chemicznym, tak też i w fizykalnym kierunku biologii największe prace i postępy należą do naszego wieku. Przez pewien czas odkrycia tak szybko następowały po sobie, że Dubois-Reymond w swej polemice przeciwko sile życiowej mógł powiedzieć: niewątpliwie kiedyś fizjologia, zostawiając na uboczu swój odrębny interes, rozplynie się zupełnie w wielkiem państwie teoretycznych nauk przyrodniczych i zleje się całkowicie z fizyką i chemią“.

Czy ten pogląd jest usasadniony? Czy w istocie objaśnienie zjawisk życiowych nie jest niezem innym, jak chemiczno-fizykalnym problematem? W każdym razie zdanie takie jest szeroko rozpowszechnione, jak wskazują liczne podobne poglądy, wygłaszane w nowszej literaturze! — Znajduję n. p. w niedawno ogłoszonej książce takie zdanie, jako podstawę nowocześniejszego materializmu: „prawa przyrody, wyprowadzone z fizyki i chemii, wystarczają do objaśnienia zagadki życia“. Albo też czytamy w tylko co otrzymanej pracy zasłużonego amerykańskiego fizjologa Loeba taki pogląd, również zgodny ze zdaniem Du-Bois-Reymonda:

„Mam niepełną nadzieję, że fizjologowie nie zapomną, iż w zjawiskach życiowych nici fizyczne i chemiczne przedziwnie są utkane, że rozwikłanie tychże zjawisk na tem jedynie może polegać, iż wyjmują oni oddzielne te nici i wysledzą biegun aż do chemii i fizyki. Jeżeli prawdą jest, że tacy mężowie jak Robert Mayer i Helmholtz byli największymi naszymi fizjologami, to fizjologia polega na chemicznej i fizykalnej, albo krótko mówiąc na energetycznej analizie zjawisk życiowych“.

Co do mnie, to zajmuję odmienne stanowisko, i na tylko co postawione pytanie zmuszony jestem odpowiedzieć stanowczo: nie — Nie należy obawiać się, ażebym próbował znów wprowadzać do nauki tak ponad miarę wydęte pojęcie siły życiowej. Pomimo że tacy badacze, jak Bichat i Jan Müller sądzą, iż nie można obyć się bez pojęcia siły życiowej, to jednak z wyrazem tym łączy się tyle niejasności, że Lotze i Du-Bois-Reymond wypędzili go na zawsze ze świątyni wiedzy.

AFORYZMY.

92. Naukowa wartość hipotezy nie mierzy się stopniem jasności i wyrazistości, ale ilością faktów, które tłumaczy. *Ch. Dumont.*

93. Jest to właściwością geniuszu, że poglądów nie zaciemniają mu korzyści chwili; patrzy za daleko aby powszednie błędy mogły zgasić w jego oczach

blask prawdy, posiada też z góry w swoich sądach bezstronność przyszości. *Lamartine.*

94. Nie można gardzić nauką, nie gardząc rozumem, nie można gardzić rozumem, nie gardząc ludźmi. *Anatole France.*

95. Dzieje nauki dowodzą, że każdy postęp polegał na uchyleniu zasadniczego twierdzenia, które poprzednio uznawano jako rozumiejące się samo przez się. *Gustaw Teichmüller.*

96. Mądry zaczyna myśleć tam właśnie, gdzie głupi kończy.

97. Geniusz może całą ludzkość oświecić, ale równie dobrze może ją ogłupić.

98. Nie należy brać za jedno nauki i erudycyi: erudycya zbyt często bywa lenistwem umysłu. *P. Payot.*

99. Systemat naukowy jest dobry i trwały, gdy inny nie może go wyprzedzić nie pochłaniając w sobie, jest zły, gdy go wyprzedza usuwając na bok.

100. Powiadają: niema ugruntowanej zasady, która nie spoczywa na rzeczywistych faktach; ja zaś powiadam: niema faktu rzeczywistego, który nie spoczywa na ugruntowanej zasadzie. *Criton.*

101. Natura potrzebuje największych sił, gdy chce coś stworzyć lub rozwinąć, najmniejszych — gdy chce coś zakończyć lub zniszczyć. *Gregorovius.*

102. Aby poznać rzecz, trzeba ją pokochać. *Carlyle.*

103. Nie przez zwiększanie sumy swych wiadomości stać się można filozofem, ale przez wprowadzenie ładu i harmonii do tych, które się posiada. *Criton.*

104. Pozytywista zna ludzi, ale nie zna ludzkości; idealista zna ludzkość, ale nie zna ludzi.

105. Zdolność doprowadzenia do jedności tego, co jest wielorakie, a uczynienia skończonem tego, co jest nieskończone, czyż nie jest tem, co wiemy myśla? *Criton.*

106. Zagadnienia niepotrzebne a nawet szkodliwe mają zawsze dar roznamietniania ludzi, byle były zarazem nierozwiązalne. *G. Trade.*

PISMA.

(t. s.) Krytyka zamieszcza w zeszycie grudniowym bardzo interesujący artykuł autora, kryjącego się za literą G., poświęcony książce p. Wojciecha Dzeduszyckiego o Messyanizmie polskim. Dalej scena pierwsza z dramatu Wyspiańskiego: „Noc listopadowa“. — Sprawozdanie p. A. Cybulskiego z pierwszego „Salonu“ polskiego, nadto poezye Orkana, Mirandoli, Śliwickiego. Wkońcu prof. Baudouin'a de Courtenay: „Uwagi na czasie i nie na czasie“ — prowadzące jakby dalej echo ankiety podjętej poprzednio przez „Krytykę“ w głośniejszej sprawie konfiskaty „Legend“ Niemojewskiego — echo, zdaniem naszym, już.. nie na czasie.